



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

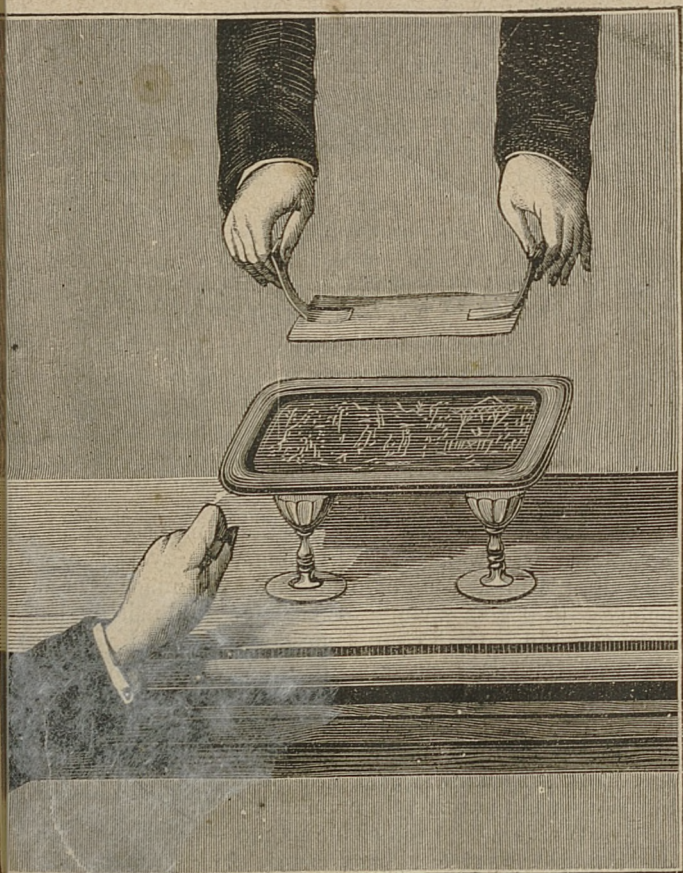
W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

DOŚWIADCZENIE FIZYCZNE.

Czy wiecie, co to jest elektryczność? Zamiast odpowiedzi, moglibyście nam zadać toż samo pytanie, odpłacając pięknym za nadobne. Nie wstydzilibyśmy się jednak naszej niewiedomości, pocieszając się tą myślą, że jeżeli ani wy, ani my nie wiemy, co to jest elektryczność, to i najwięksi w świecie uczeni wyjaśnić nam tego nie potrafią. Wszyscy ją dobrze znamy, tę siłę potężną a tajemniczą, wszyscy się nią posługujemy, bo wszak to elektryczność bieży po drutach telegraficznych i z błyskawiczną chyżością roznosi po całym świecie wiadomości, ona także zapala wspaniałe światło, o którym każdy zasłyszeć przynajmniej musiał, bo lampy elektryczne coraz więcej się rozpowszechniają. Ona nam pozłaca, posrebrza różne przedmioty, krusze drzeworyty przerabia na trwałe metalowe blachy, już nawet zaczyna popychać pociągi na kolejach, łódki po wodzie, balonami kieruje w powietrzu i mnóstwo różnych innych prac wykonywa, a jednak to proste pytanie, co to jest elektryczność? pozostaje dotąd bez odpowiedzi.

Darmo więc nad tém głowy sobie łamać nie będziemy, poprobujemy lepiej schwycić elektryczność i bliżej jej się przypatrzeć. To sprawa wcale nie trudna, bo ją napotkamy na każdym kroku, pełno jej wszędzie na świecie. Dość potrzebować kawałek laku flanelą lub inną tkaniną wełnianą, a potem zbliżyć go do drobnych, lekkich strzępków papieru, aby obaczyć na własne oczy siłę elektryczności. Toż każde niemal dziecko wie o tém, że taki lak potarty flanelą przyciąga, jak



Doświadczenie fizyczne.

magnes, owe drobne strzępki. Zkądże to pochodzi? Oto tarcie rozwija w nim elektryczność, jakby ją ze snu przebudziło.

Różne dowcipne przyrządy nagromadzają ogromne ilości elektrycznej siły, z którą ostrożnie obchodzić się potrzeba, bo i zabić może, jak piorun. Któż o tém nie wie, że i pioruny, i błyskawice, nie są czém inném, tylko elektrycznością. My wam podamy sposób sporządzenia w domu, tanim bardzo kosztem, prawdziwego elektrycznego przyrządu, który nie będzie przedstawiał żadnego niebezpieczeństwa, a jednak pozwoli wam oglądać zajmujące zjawisko błyskawicy sztucznej.

Spojrzyjcie na rysunek, widzicie na nim sposób urządzania elektroforu, elektrofor służy do gromadzenia elektryczności. Weźcie prostą tace blaszaną pokostowaną, której używają w każdym domu do podawania herbaty, ustawcie ją na dwóch szklanych kieliszkach, jak to na rysunku widzicie. A teraz należy wykroić z arkusza grubego, mocnego pakowego papieru kawałek takiéj wielkości, ażeby przykrył dno tacy. Po obu stronach jego przytwierdza się lakiem dwa paski z tegoż samego papieru, służące do podnoszenia i trzymania. Wszystko to rysunek przedstawia dokładnie. Teraz zaczyna się robota najtrudniejsza i najważniejsza zarazem, wymagająca uwagi i ostrożności; ażeby doświadczenie się udało, musi być wykonane z wielką zręcznością i akuracnością. Trzeba ten papier ogrzać porządnie, czy to nad blachą kuchenną, czy to za pomocą żelazka do prasowania, potem położyć go na desce drewnianej (można i na prostym stoliku) i pocierać mocno szczotką włosianą, używaną do czyszczenia sukien. Wszystko to ma być zrobione bardzo szybko, ażeby papier nie ostygł tymczasem, należy także uważać, ażeby szczotka była sucha.

Tak ogrzany i natarty papier, trzymając go zawsze za wąskie paski, kładzie się na tacy. Następnie dotknąć należy lekko tacy palcem i podnieść papier, jak to rysunek przedstawia. W téj chwili druga osoba niech przytknie z kolei palec do tacy, a wytryśnie z niej malutka błyskawica. Toż samo można powtórzyć kilka razy, to jest złożyć znów papier na tacy, dotknąć jęj palcem i unieść papier na paskach, a za każdą razę ukaze się błyskawica elektryczna gdy druga osoba przytknie palec do tacy. Doświadczenie udaje się do szczęściu, do ośmiu razy nawet, jeśli wszystko szybko i zręcznie się odbywa. Gdy elektrofor działać przestanie, można go ogrzać na nowo.

Niezadługo wskażemy wam sposób urządzania butelki lejdejskiej, tak się nazywa inny przyrząd elektryczny, wynaleziony w mieście Lejdzie.

NA MOGILE.

Matuś moję zabrali
I w dół ciemny schowali,
Głęboko, głęboko!
Nad nią świeża mogiła
Codziennie się wznosiła
Wysoko, wysoko!
Matuleńka zasnęła,
Oba oczki zamknęła,
Jęj ciemno, oj ciemno!
A ja, biedne jęj dziecię,
Tułam się sam po świecie
Daremno, daremno!
Serce krwawi się, płacze,
Wiodę życie tułacze,
Bez dachu, bez dachu!

Nigdzie kąta, ogniska,
Smutek lży mi wyciska,
Wśród strachu, wśród strachu!
Jak nie strachać się, Boże,
Kiedy w całym przestworze
Nikogo, nikogo!
Wszędy ino sam chodzę,
Los ukarał mnie srodze,
Oj srogo, oj srogo!
Wśród najcięższej, oj słoty,
Nikt nie przyjmie sieroty,
Oj biada, oj biada!
Lecz mnie przyjmie Ten w górze,
Co na ziemi i w chmurze
Tak włada, oj włada!
On dla wszystkich opieką,
Choć jest niby daleko,
A blisko, a blisko!
Ma On w niebie i w morzu,
I na całym przestworzu,
Siedlisko, siedlisko!
Więc i mnie też przygarnie,
Nie da zginać tak marnie,
Bóg Wielki, Bóg Wielki!
Wszak czy duży, czy mały,
Zyje pod nim świat cały,
Twór wszelki, twór wszelki!
I maleńki robaczek,
A ja mały chudziaczek,
Życ będe, żyć będe.
Bóg mi ześle ochotę,
A ja pracę, robotę,
Zdobęde, zdobęde!
Więc śpij cicho w swym grobie,
Odpoczywaj tam sobie,
Matulu, matulu!
Syn twój, matko, na łanie
Wraz z innymi zostanie,
Choć w bólu, choć w bólu,
Ale matko ty droga,
Bądź synowi u Boga
Opieką, opieką.
Gdy sił dadzą mu nieba,
Syn twój zajdzie jak trzeba,
Daleko, daleko!

Z. Morawska.

PRAWDZIWE BOGACTWO.

POWIEŚĆ

przez autorkę **Reginki.**

(Dalszy ciąg).

Lenka spojrzała na matkę, potem na psa, stojącego prawdziwy winowajca przed sądem, twarzyczka jęj zarumieniła się, a w oczach mignęła łza zawstydzenia i żalu zaraz pochwyliła psa za szyję, a przytulając go do siebie, zawołała — Biedny mój Kruku, poczciwy, dobry Kruczku, się cię wprowadziłam na złą drogę, a potem tak niesłusznie oskarżałam i wstydziałam. Widzisz, mateńko, jaka to nie bra twoja córka — dodała, składając drobne rączki na jej kolanach — położyłam ciastko na ziemi, i odwróciłam się uniesiona, Kruk przysunął się, no, i naturalnie ciastko schrupał, a swoje, a ja mu potem tyle nadokuczałam.

— Weźże z tego dla siebie naukę — rzekła matka — a często możemy stać się przyczyną, że ktoś przez nas źle o świecie może. A teraz rozweselcie się oboje, bo wcale nie robi przyjemności patrzeć na twoję smutną minkę.

Wniesiono czekoladę, a p. Jadwiga, zabawiwszy godzinę, odeszła, śpiesząc na lekcje.

Matka i córka pozostały same.

— Bardzo kocham p. Jadwigę, mateńko — rzekła Lenka, — i niewymownie mi przykro, że biedaczka tak pracować musi. Jakież to nieszczęście tak chodzić przez dzień cały mozolić się ciężko, aby uczyć niezawsze pojętne uczennice, a często i nie chcące pracować.

— Praca nie jest nieszczęściem, Lenko — powiedziała matka, zabierając się do przerwanéj roboty — owszem, moje dziecko, szczęśliwy ten, kto umie i może pracować, a zwłaszcza, gdy praca nasza użyteczną jest ukochanym naszym, gdy pracą naszą podtrzymujemy byt drogiej nam istoty; w ten czas, Lenko, praca jest szczęściem, błogosławieństwem.

— Prawda, mateńko, że praca jest przyjemną — rzekła Lenka, zabierając się do zwijania jedwabiu — ale taka praca obowiązkowa, taka praca, co to czy mi się chce, czy nie chce, pracować trzeba, to taka nie musi być miłą. Tak mi się wydaje, bo ja tak nie lubię przymusu.

— A jednak, moje dziecko, ulegasz przymusowi, spełniając wszystko, co ci rodzice polecają — odpowiedziała matka — przecież nic nie czynisz podług własnej woli. Słuchasz profesorów, przychodzących cię uczyć, słuchasz p. Jadwigi, spełniasz wszystko, czego od ciebie wymagają, jesteś uległą, bo wiesz, że inaczej być nie może; ulegasz więc bezwiednie przymusowi, nie próbując nawet opierać się woli rodziców.

— Ja nawet tego nie rozumiem, mateńko, jak można opierać się woli rodziców — zawołała żywo dziewczynka — abym pragnęła odgadnąć myśli wasze, jabym pragnęła... Ach, mateńko, czy naprawdę są takie dzieci, które nie słuchają rodziców? jakże nieszczęśliwi muszą być rodzice, którzy mają złe, nieposłuszne dzieci. Prawda, mateńko, muszą być bardzo nieszczęśliwi?

— Istotnie, dziewczeczko moja, bardzo są biedni rodzice, gdy mają złe, krnąbrne i nieposłuszne dzieci, ale ja myślę, kochanko, że takich wyrodnych dzieci bardzo mało jest na świecie, ja przynajmniej nie znam ani jednego tak niedobrego dziecka.

— Ja pewnie źle się wyraziłam, mateńko, mówiąc, że nie lubię przymusu — rzekła Lenka, wracając do poprzedniej rozmowy — ja to rozumiem, tylko nie umiem wypowiedzieć jasno.

— Chciałaś powiedzieć, że praca jest miłą, gdy nie zarabiamy nią na chleb powszedni, gdy do niej nie łączy się myśl przykra: jeżeli dziś pracować nie będziesz, jutro ty i twój jeść nie będą, więc pracować *musisz*, bo tak ci nakazuje obowiązek sumienia i serca.

— Ach, czemu też tatuś kochany nie przyjeżdża — rzekła dziewczynka zmieniając przedmiot rozmowy z właściwą dzieciom żywością — ja nie wiem, jak mateńka może na to pozwolić, aby ojciec ciągle wyjeżdżał i wychodził; ja, żebym tylko mogła, doprawdy nie pozwolilibym na to.

— Ojciec wywiązuje się z wziętego na siebie obowiązku — odpowiedziała matka — tak być powinno, kochanko, a od tego nie ma nikt prawa go odwozić, ani żona, ani matka, ani matka.

— Ach, ten szkaradny obowiązek, kiedy mi zabiera tatuś czasem na dzień cały — rzekła dziewczynka z nadąsaną miną — żebym mogła, to te wszystkie obowiązki zapakowałabym w worek, przywiązała do niego młyński kamień, i utopiłabym w Wiśle. Ach, jakby wtenczas dobrze i wesoło było na świecie.

W tej chwili rozległ się dzwonek, śmiała i pewną poruszony ręką.

— Tatuś przyjechał! — krzyknęła dziewczynka, zrywając się z miejsca — ja ojczusia zawsze poznam po dzwonienu — i to mówiąc, wybiegła szybko z pokoju. Matka podążyła za nią. Mała się nie myliła, był to rzeczywiście jej ojciec, który ją już tulił w objęciu, okrywając pocałunkami czoło i główkę dziewczynki.

— Jakżeśmy cię niecierpliwie wyglądały, drogi, kochany tatusiu, o, doprawdy, już dziś za nic w świecie nie puszcę

cię z domu — wołała Lenka, całując ręce ojca i zarzucając mu rączki na szyję. — Widzisz, mateńko, nie myliłam się — rzekła do wchodzącej matki — moja dusza przeczuje zawsze tatusia.

Ża wejściem żony, doktor postawił dziewczynkę na ziemi, i z uśmiechem, zdradzającym głębokie przywiązanie, pośpieszył ku niej.

— Dziesięć godzin, jak wyjechałem z domu, a tak mi pilno było z powrotem, jakbym od miesiąca nie był z wami — rzekł, całując jej ręce — ale nie mogłem wcześniej opuścić chorego, rozpacz rodziny trzymała mię przy łożu cierpiącego, pragnąłem koniecznie pomódz mu, o ile to w ludzkiej jest mocy.

— Czy to ojciec rodziny? — zapytała żona.

— Nie, duszko, to brat biednej wdowy, i wujaszek kilkorga bardzo sympatycznych dzieci. Zaziębił się biedak fatalnie, zmokł w czasie burzy, i w mokrém ubraniu przebył kilka godzin, dostał więc bardzo gwałtownego zapalenia płuc, i szybka pomoc była niezbędną.

— A czy wyzdrowieje ten wujaszek, tatusiu? — zapytała ze współczuciem Lenka.

— Bogu wiadomo, dziewczeczko — odrzekł ojciec — robiłem wszystko, co nauka i doświadczenie lat tylu wskazywało, zdaje mi się jednak, że będzie dobrze. Choroba nie miała czasu opanować organizmu, zresztą jest to człowiek silny i zahartowany w życiu.

— Czy tam były i panienki ojczusiu? — pytała ciekawa dziewczynka, prowadząc ojca do jego pokoju na ulubiony fotel — ja tak lubię słuchać o tém, że gdzieś jest dużo dzieci, że są siostry, bo ja sobie nie umiem wyobrazić nawet, jakie to musi być szczęście mieć siostry i braci. Ojczuś też tego nie rozumie, bo także jedynakiem był u rodziców, tylko mateńka taka szczęśliwa, jak królowa, bo ma i siostry i braci.

— Dia czego jak królowa, kochanko? — rzekł ojciec — czy sądzisz, że szczęście jest zawsze udziałem głów koronowanych? Nie, dziecko, szczęście na każdym stanowisku znaleźć można. Czy myślisz, że ja zamieniłbym moje szczęście za jaki tron na świecie? wierzaj mi, dziecko, że nie, mówię ci szczerze.

— O, ja ci wierzę, ojczusiu, tak tylko powtórzyłam to bezmyślnie, bo tak ludzie mówią, „piękna jak królowa, szczęśliwa jak królowa”, chociaż nie wiem, dlaczego tak mówią. Ale co tam, powiedz mi, tatusiu, kogo tam poznałeś — rzekła, podając ojcu zapałki do zapalenia papierosa — mów mi, czy tam były panienki?

— Były i są, bardzo miłe i starannie widać wychowane — odpowiedział ojciec — i to aż cztery widziałem, i dwóch chłopczyków do tego.

— Czy już duże? — pytała dalej.

— Dwie starsze od ciebie, a dwie znów młodsze; zwróciła szczególniej moją uwagę starsza, rozumna i praktycznie chowana panienka, Hanka jej na imię.

Z tego, co doktor opowiadał swéj jedynaczce, domyślając się zapewne czytelnicy, że to p. Kazimierz zachorował, a troskliwa siostra wysłała natychmiast po lekarza do Warszawy, od której Zabin leżał tylko o dwie mile. Gdy brat zachorował, p. Krystyna pobiegła sama do szkoły, zbudziła nauczyciela i uprosiła go, że pojechał sam po doktora. Nauczycielem w Zabinie był Stanisław Grubski, człowiek młody, dobry i uczynny, pochodził z Warszawy, nie było mu więc trudno znaleźć doktora i przywieźć. Pomyślał chwilę, do któregoby się udać, i wybór jego od razu padł na doktora Z. który znany był ze swéj gotowości niesienia pomocy o każdej porze dnia i nocy. Zadzwoił, otworzono mu, nie powiedziano, że pana niema w domu, zbudzono doktora, bo taki był rozkaz raz na zawsze dla wszystkich, wysłuchał o co chodzi, posłał po felczera, wsiadł na trzęsącą bryczkę i pojechał.

Doktor Z. był to człowiek nie pierwszej już młodości, mógł mieć około lat pięćdziesięciu. Powierzchność jego była sympatyczna i wzbudzająca zaufanie, w obejściu był grzeczny i serdeczny, potrafił zawsze wlać ufność i wiarę, nietylko w otaczających, ale i w chorego. Po krótkiej chwili, spędzo-

nój przez doktora przy łożu cierpiącego, we wszystkich wstępowała nadzieja, rozjaśniały się lica, a choremu zdawało się, że jest zdrowszym po samém zbadaniu pulsu.

(d. c. n).

GROTA MAMUTOWA.

Na wybrzeżach rzeki Ohio w Ameryce północnej, na południe od miasta Louisville, wśród niezbyt wysokich skał wapiennych, mieści się rozpadlina, nąpół ukryta splotami bujnej roślinności. Nieznaczna ta szpara stanowi wejście do olbrzymiego podziemia, które z powodu tych nadzwyczajnych rozmiarów otrzymało nazwę, przypominającą mamuta, olbrzymie zwierzę zaginione. Skały wapienne są miękkie, łatwo się kruszą i wietrzeją, przeciekająca woda nadwiera ją i niszczy, dlatego też najwięcej zawsze podziemi podobnych, grot pięknych i dziwacznych, napotyka się w miejscowościach, gdzie są pokłady wapienne.

Gdyby kto z młodych czytelników, dbający o poprawność pisowni, co jest rzeczą bardzo chwalebna, dziwił się, widząc wyraz *wietrzeją* napisany przez *sz*, a nie przez *rz*, jak to jest we zwyczaju, możemy mu wyjaśnić, że ci właśnie się mylą, co go piszą przez *rz*. *Wietrzeje*, to znaczy traci na powietrzu zapach, mówi się także: pies wietrzy zwierzynę, lecz słowo *wietrzeć*, *wietrzeje* nie pochodzi wcale od wiatru, lecz od przymiotnika *wiotki*, to jest nietrwały, łatwo ulegający zniszczeniu. Jeżeli więc mówimy: skała wietrzeje, to nie znaczy, że ją koniecznie wiatr nadwiera, lecz, że łatwo się niszczy, czy to pod działaniem powietrza, czy wody, czy z innych przyczyn.

A teraz powracamy do naszego przedmiotu, do groty mamutowej. Jest to najrozleglejsze ze wszystkich znanych podziemi; parę lat temu donoszono wprawdzie z Ameryki, że odkryto tam jaskinię daleko większą jeszcze, ale wiadomość ta nie zupełnie jest pewna, potrzebuje potwierdzenia, możemy więc tymczasem, według dawniejszego przekonania, groty mamutową uważać za największą w świecie. Podamy wam tu w skróceniu opis pewnego podróżnika, który ją zwiedzał niezbyt dawno.

Wejście do podziemia jest dość wąskie, nic tu nie zapowiada wspaniałości dalszych widoków. U wejścia stoją zwykłe przewodnicy murzyni, zaopatrzeni w lampki górnicze urzędowe świadectwa. Puszczając się bowiem w głąb tej otchłani bez pewnego przewodnika byłoby bardzo niebezpiecznie. Schodzimy na dół po kilkudziesięciu schodach wilgotnych, i widzimy przed sobą długą na 1,000, a na 20 metrów szeroką galeryę, w której nic niema jeszcze osobliwego. Przejście to prowadzi do dużej sali, Rotundą zwaną, z tej rozbiegają się na wszystkie strony liczne korytarze; jeden dochodzi do sali większej jeszcze, ze 100 metrów obwodu mającej, której wysokie zaokrąglone sklepienie i fantastyczne ozdoby przypominają zupełnie starożytne świątynie, ztąd nadano jej nazwę kościoła gotyckiego. Dokoła wnoszą się przepyszne słupy stalaktytowe, a pomiędzy niemi ukazują się niższe wytwory podobne, naśladujące zupełnie stale, w głębi jest nawet coś nakształt ambony. Przy świetle pochodni widok to prawdziwie czarujący i takie sprawia złudzenie, że wzrok zdaje się rozpoznawać przeróżne ozdoby kościelne, posągi w modlącej się postawie, ołtarze, organy, kandelabry, chrzcielnice.

Z tej świątyni długie, kręte przejście, zwane aleją gotycką, z powodu bogactwa swych ozdób, prowadzi do tak zwaną sali Upiorów, gdzie odkryto liczne mumie starożytnych jakichś krajowców. Podziemie to musiało być zatém znane dawniejszym mieszkańcom tej ziemi, którzy w niem urządzili miejsce spoczynku dla swoich umarłych. Ta sala cementarna dziś nie ma w sobie nic smutnego, przeciwnie, najbardziej z całego podziemia jest ożywiona i oświetlona wspaniale. Żony przewodników utrzymują tu rodzaj kawiarni, gdzie można się pożywić i nawet dzienniki przeczytać. Dokoła sali

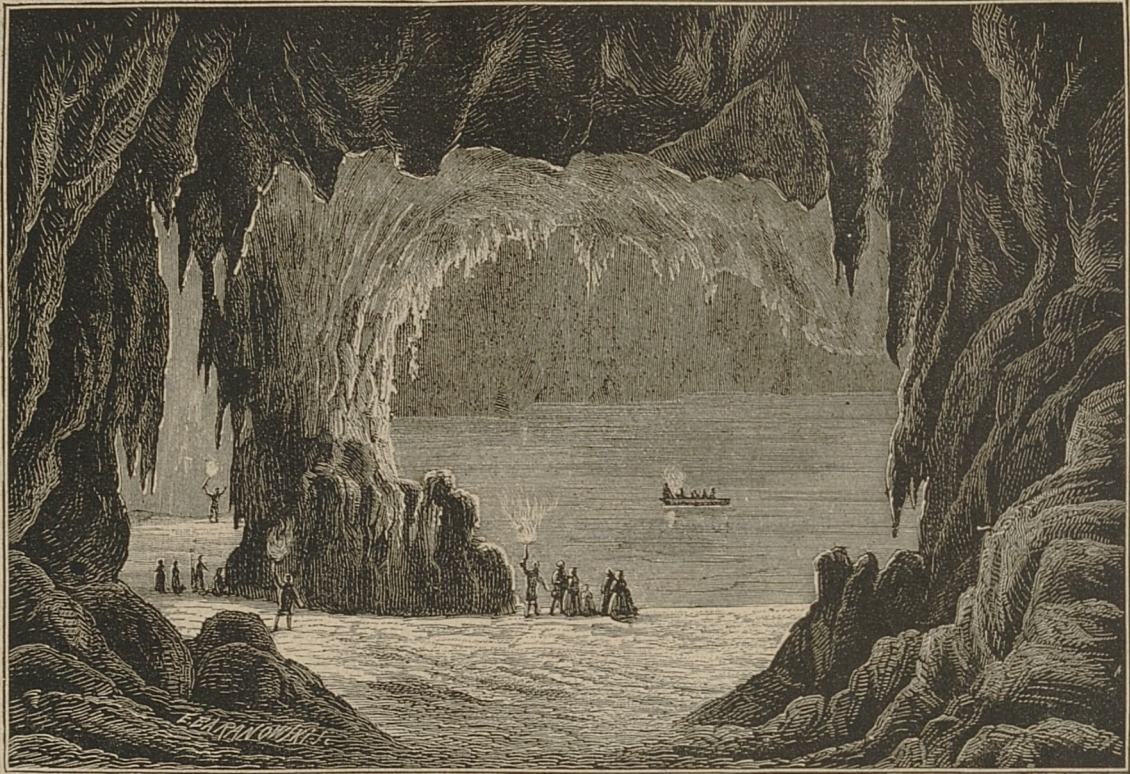
Upiorów widzimy szereg głębokich wyłobień, które wyglądają, jak cele klasztorne i są zamieszkałe w rzeczy samej przez pustelników. Starcy, kaleki, suchotnicy, sadowią się tam w przekonaniu, że powietrze, nasycone saletrą, którą nawiędobywają obficie w grocie mamutowej, dobroczynnie działa na zdrowie.

Wyszedszy z tej sali, zstępujemy na dół po kilku drabinach, przechodzimy po moście drewnianym i zapuszczamy się w długi, kręty labirynt wąziutkich i niskich korytarzy. W jednym miejscu musimy się przeciskać na czworakach niedarmo przejście to nazwano *Drogą pokory*, musi tu bowiem każdy rad nie rad przybrać postawę pokorną i głowę pochylić aż do ziemi. Wydobyszy się z tego korytarza, widzimy przed sobą rozleglejszą przestrzeń, opasaną w kształcie podkowy prostopadłemi skałami. Do jednej przytyka coś na kształt balkonu, to *Krzesełko dyabelskie*, przy niem ukazują się otwór niewielki, niby strzelnica, jest to rozwartą paszczą *Przepsaści bezdennej*. Przewodnicy zbliżają do otworu pocho-dnie, zaglądamy i widzimy czarną otchłani, o rozmiarach jej jednak nie możemy powziąć żadnego wyobrażenia. Więcej jeden z przewodników zapala parę trąbek papierowych, rzucił ją w przepaść i zachęca, abyśmy teraz spojrzeli. Przerazający to widok, od którego można z łatwością dostać zawrotu głowy. Błędne ogniki spuszczają się z wolna w otchłani migają przed oczyma naszymi coraz niżej, aż wreszcie gasną w jakiejś niepojętej głębi, nie dostawszy się do dna. Spoglądamy znów do góry, ale i sklepienie gubi się tak wysoko, że go dopatrzyć nie zdołamy. Prawdopodobnie w zamierzonych czasach potok jakiś podziemny musiał się przeciskać gwałtownie przez te skały i tak je straszliwie porozrywał.

Idziemy dalej po krętych i nierównych drogach, raz spuszcza się na dół, to znów wspinamy się do góry, aż wreszcie stajemy w Tumie olbrzymim (Mammoth dome) który ma 130 metrów wysokości. Pomimo blasku licznych pochodni niepodobna tego wyniosłego sklepienia dopatrzyć, szczyt jego tonie w ciemnościach. Ślizka drożyna wije się po spadzistej skale do góry, doprowadzając nas prawie aż do wierzchołka owego sklepienia, wchodzimy do drugiej sali, gdzie znów osobliwszy widok wzrok nasz uderza. Tu sklepienie znacznie niższe usypane jest całe błyszczącymi punkcikami. Przewodnicy z pochodniami w rękach ustawiają się w kątach, poza słupami stalaktytowemi, wywołując tém czarującą grę światła. Chwilami zdaje się, że widzi się niebo, zasiane myriadami gwiazd, to znów smugi światła, przesuwać się po sklepieniu, do złudzenia naśladują świt poranny, lub ostatnie błyski zachodu. Ta część podziemia zowie się *Komnatą gwieździstą*.

Przybywamy nareszcie na wybrzeża Morza martwego, taką szumną nazwę nosi niezbyt wielkie jezioro, do 10 metrów szerokości mające. Dalej znów napotykamy strumień okazały, który nam drogę zagraża, nosi on najwłaściwsze dla siebie miano Styksu, jak owa rzeka mitologiczna, prowadząca do piekieł pogańskich, po której miał żeglować przewodnik Charon. Nie Charon wprawdzie, lecz poczciwy murzyn nadpłynął z łódką, wsiedliśmy do niej śmiało i puściliśmy się z prądem rzeki podziemnej. Czarny przewodnik wydaje parę okrzyków, dziwne odgłosy im odpowiadają z głębi otaczających nas ciemnych otchłani, nawet plusk wiosel wywołuje jakieś szmery i huki niezwykłe. Nagle słyszymy łoskot straszliwy, sądziliśmy, że skały się poobrywały nad nami, obawialiśmy się, aby odłamy głazów nie spadły nam na głowy, lecz przewodnik wybuchnął śmiechem, pokazując białe zęby. On to nam takiego figla urządził; uderzył tylko parę razy wiosłem o dno łodzi, a echo okoliczne powtórzyło ten odgłos z taką mocą, jakby gromy uspione przebudziły się w szczelinach skał. Nie było sposobu gniewać się na poczciwego murzyna, chociaż niemałego nam strachu napędził.

Po półgodzinnej żegludze, wysiadamy znowu na brzeg, miałkim piaskiem usypane, wchodzimy w korytarz, którego ściany, pokryte wytworami stalaktytowemi, wyglądają zupełnie, jakby kwiatami były usypane. Ta droga prowadzi do tak zwaną sali balowej, o ścianach olśniewającej białości, jakby



Grota mamutowa.

niegiem pokrytych. Następnie wdzieramy się na *Góry skaliste*, tak nazwano nagromadzenie ogromnych głazów, które agradzają dalszą drogę. Tu znów napotykamy czarującą *groty wrózek*, zdobną w łuki i kolumnady stalaktytowe; wśród iszy odzywa się zewsząd szmer wody, która przecieka przez zpary i sączy się po stromych skałach. W głębi tej przeziorną groty wznosi się olbrzymi słup biały, jakby z alastru wyciosany, który u góry rozgałęzia się na wszystkie trony, tworząc wspaniały parasol, i naśladując do złudzenia rzewo palmowe, o liściach pochylonych. Przy świetle pochodni widok ten rzeczywiście przypomina opisy z Tysiąca jednej nocy i niedarmo cudny ten zakąt olbrzymiego podziemia przewano Groty Wrózek.

Podziemna wędrówka nasza trwała z dziesięć godzin, pomimo czarujących widoków, które nas zachwycaly, odczuliśmy jednak swobodniej, gdyżmy nakoniec ujrzeli wiatło zachodzącego słońca, zieloność lasów, gdyżmy usłyszeli świągot ptasząt i powiew wiatru przyniósł nam świeże apachy łąk ukwieconych. Ponura piękność martwych podziemi nie mogła nam zastąpić uroku ożywionej przyrody.

NA CO SIĘ SIOSTRY ZGODZIŁY.

ORRAZEK SCENICZNY

przez **Natalię Sokołowską.**

(Dokończenie).

Scena III-cia.

KOCIA, WANDZIA, JADZIA, PRAKSIA, OLENIA.

WSZYSTKIE.

Co się stało? co się stało?

KOCIA.

Jest list od dziadka.

WANDZIA.

Czy zdrów?

PRAKSIA.

Czy przyjedzie?

JADZIA.

Czy o nas pamięta?

OLENIA.

Czy przysłał... (zatrzymuje się zawstydzona).

KOCIA (żywo).

Zdrów, przyjedzie i cudowną przysłał nam gwiazdkę...
Założę się, że nie zgadniecie!...

OLENIA.

Toruńskie pierniki?

JADZIA.

Lalki?

PRAKSIA.

Albumy?

WANDZIA.

Książki!

KOCIA.

Stokroć lepiej! Stokroć lepiej!

WSZYSTKIE.

Mów, Kociu!... Mów, co przysłał dziadunio?

KOCIA.

Dla każdej z nas sześć rubli, całe sześć rubli!... Jak żyję nie miałam tyle pieniędzy!...

WSZYSTKIE.

Ani ja! Ani ja!

WANDZIA.

Mama najlepiej postanowi, co nam kupić potrzeba.

KOCIA.

Mylisz się, siostrzyczko!... Dziadzio zastrzega, żebyśmy

same rozrządziły temi pieniędzmi, a mama zapowiedziała mi, że najzupełniej zastосуje się do naszej woli.

WANDZIA.

Wkłada to na nas obowiązek namyslenia się nad tém, co kupimy.

OLENIA.

Zakupię tyle pierników, że mi ich na rok wystarczy!...

JADZIA (*skacząc z radości*).

Będę miała nareszcie tego Chińczyka, co to rusza głowę, językiem i rękami!

(*naśladuje ruchy Chińczyka*).

PRAKSIA (*do Wandzi*).

To nie wystarczy na album Matejki?...

WANDZIA.

Mogłybyśmy się złożyć.

KOCIA.

A możeby sprawić sukienki na imieniny Mani?

WSZYSTKIE.

Wyborna myśl!

KOCIA.

Muślin niedrogi, a szwaczka w domu uszyje.

WANDZIA.

Podług wstążek od cioci, my dwie ubierzemy się różowo, Praksia z Olenią niebiesko...

KOCIA.

A jagnię nasze białe z zielonem!

OLENIA.

Ja wolę żółtą suknię.

KOCIA.

Dalszy ciąg pierniczka!

PRAKSIA.

A ja zieloną!

KOCIA (*z przesałą*).

Fiołek w trawie!

JADZIA.

A ja błękitną w srebrne gwiazdy i brylantowy półksiężyc na głowę!...

KOCIA (*żartobliwie*).

Nie kupisz nieba, jagódka, za sześć rubli!

WANDA.

Niema więc zgody?

KOCIA.

Jak na sejmikach!...

Scena IV-ta.

DZIEWCZĄTKA I MAGDUSIA.

(*Magdusia, ubrana po wiejsku, wniósłszy na tacy czekoladę i bułeczki, stawia wszystko na stole*).

MAGDUSIA (*usuwając książki i t. d.*).

Przyniosłam panienkom śniadanie. (*staje smutnie na boku*).

OLENIA I JADZIA (*biegnąc do stołu*).

Czekolada! czekolada!

(*zasiadają i zabierają się do jedzenia*).

WANDZIA (*zatrzymując się obok Magdusi*).

Jakie ty masz czerwone oczy... Czegóż plakała?

KOCIA (*podobnicż*).

Możesz co stłukła? Powiedz, to ja to wezmę na siebie... jedna skorupa mniej, jedna więcéj, nie zacięży mi na przywykłem do tego sumieniu!

PRAKSIA (*podobnicż*).

Co ci się stało, Magduchno?

MAGDUSIA (*rozżalona*).

Doloż moja, dolo!... Matus, matus najdroższa... (*placze*).

WANDZIA (*z przerażeniem*).

Umarła ci matka?...

(*małe zrywają się od stołu i przybiegają do Magdusi bardzo wzruszone*).

WSZYSTKIE.

O Boże!...

MAGDUSIA (*przestając płakać*).

Dziękować Bogu żyje i zdrowiuśka, jak rybka.

WANDZIA (*z radością*).

Widzisz więc, że cię nie spotkało najstraszniejsze nie-szczęście.

MAGDUSIA.

Dyć święta prawda!... Wielka jednak bieda spadła na matulę... (*placząc*) Zdechła Kyska z cielakiem.

(*zakrywa oczy fartuchem i płacze*).

WSZYSTKIE.

Biedna Marcinowa!

MAGDUSIA.

Ani krzyneczki mleka w chałupie... a Janek taki maleńki!... Z głodu zamrze braciszek mój kochany!... O doloż moja, dolo!... (*placze*).

WSZYSTKIE.

Biedactwo!...

MAGDUSIA.

Ni sera na targ, ni masła, ni śmietany... a latoś nie urodziły ziemniaki... toż matula sprzedać przyszła prosięta, bo nie ma na chleb i sól!...

WANDZIA (*b. wzruszona*).

Mój Boże, co to za nędza!...

MAGDUSIA.

A ja wszystko wydałam na oporządzenie i grosika ni mam przy duszy!... O matus moja jedyna!... (*placze*).

KOCIA.

A ile taka krowa kosztuje?

MAGDUSIA.

Bardzo dużo pieniędzy, co najmniej trzydzieści rubli!

KOCIA (*z radością*).

Pięć razy sześć trzydzieści!

WANDZIA.

Mnożysz lepiej od Pitagoresa, bo serdeczniej!

PRAKSIA.

Nie odejmę nic od twego uachunku duoga siostrzyczko!...

JADZIA (*ciągnąc Wandzię za rękaw*).

Ja już nie chcę Chińczyka!

OLENIA (*podobnicż*).

Bierzcie moje pierniki!

WANDZIA (*z radością*).

Nie martw się, Magdusiu, kupimy ci krowę.

MAGDUSIA (*smutno*).

Wiem, że panienki mają złote serduszka, ale to moc gro-sza trzydzieści rubli.

PRAKSIA.

Mamy je, mamy!

JADZIA.

Od dziadunia na gwiazdkę!

KOCIA.

Damy ci te pieniądze z największą przyjemnością!

MAGDUSIA (*z najwyższą radością*).

Więc to prawda? Więc matus moja nie zaznają głodu! (*całując ręce dziewczynek, które ją ściskają*). Niech Bóg najświętszy błogosławi panienkom... bogdajecie zawsze byli bogate i szczęśliwe!

(*Siostry całują Magdusię, ściskają się wzajem; małe skaczą i klaszczą w ręce z radości. W końcu tej sceny wchodzi pani Bracka i przypatruje się ze zdumieniem niezwyčajnemu napa-dowi czułości*).

Scena V-ta.

(*podczas tej sceny Magdusia stoi w głębi mnąc fartuch*).

WSZYSCY.

PANI BRACKA.

Czekolada stygnie, a wy się całujecie?... Skądże taki napad czułości? Co się tu stało?... Uspokójcież się nareszcie!

(*przechodzi naprzód sceny*).

JADZIA (*stając zdyszana obok matki*).

Widzi Mama, Magdusia... Marcinowa... cielę, krowa... zdechły...

OLENIA (*podobnie z drugiej strony*).

Co ona plecie!... Nie krowa i cielę, ale Marcinowa, ech! kiedy i mnie się język płacze!

PANI BRACKA (*do Wandzi*).

Opowiedz mi, co się tu dzieje, bo te małe waryatki potrafiły widocznie głowy.

WANDZIA (*b. wzruszona*).

My chcemy... jeżeli mataczka pozwoli...

PRAKSIA (*podobnie*).

Za te pieniądze od dziadunia...

KOCIA (*podobnie*).

Kupić krowę dla Magdusi.

JADZIA.

Bo Łyska z cielęciami zdechła.

OLENIA.

A mały Janek umrze bez mleka.

PANI BRACKA.

Zaczynam rozumieć. Postanowiłyście więc kupić krowę dla Marcinowej?

WSZYSTKIE.

Tak, droga mateczko!

PANI BRACKA.

A czy wszystkie się na to zgadzacie.

WSZYSTKIE.

Najzupelniej!...

KOCIA.

Pierwszy raz w życiu!

PANI BRACKA (*zwracając się do Magdusi*).

Biegnij prędko po matkę, gdyż trzeba jej zaraz oddać pieniądze. (*Magdusia skłania się do stóp Pani Brackiej*). Leć, dziecko, radość powinna mieć skrzydła.

MAGDUSIA (*chwytając się za głowę*).

O Jezu, Jezu! bogdaj się takie państwa na kamieniu rodzili!... (*wybiega gębia*).

Scena VI-ta.

WSZYSTY PRÓCZ MAGDUSI.

PANI BRACKA.

Wyprawiliście mnie i sobie gwiazdkę, od której jasno wam będzie w myśli i sercu.

WANDZIA.

Dzięki hojności dziadunia!

PANI BRACKA.

Zaufał wam i nie omylił się... Wielką sprawicie mu radość!

WSZYSTKIE.

Niech więc żyje dziadunio!

LANDGRAFÓWNA ZOSIA

POWIEŚĆ Z CZASÓW RYCERSKICH

przez M...a.

(Dalszy ciąg).

— Oto powiedzcie mi, coście sobie pomyśleli, ujrawszy mnie po raz pierwszy? Czy widzieliście kiedy takiego jak ja rycerza? czy są tam u was panowie takowej jak ja niepospolitej postaci?

I to mówiąc, wykręcał się Phil dumnie przed Stachem, okazując mu ze wszystkich stron różne nadzwyczajności swęj osoby. Miał ochotę nawet, na głowie stanawszy, nogami kiwać, ku wzbudzeniu większego podziwu, ale namyślił się, że nie wypada znów biednego prostaka zanadto wyższością swą przynębiać, i pozostał stojąc na nogach pospolicie, w oczekiwaniu odpowiedzi. Chłop głową zwolna pokiwał i rzecze:

— Co myślałem, ujrawszy wasona raz pierwszy? oto

pomyślałem, że bies mi w drogę włązi i chciałem już wać paskiem św. Franciszka skropić, a tegi na ten cel z sobą noszę; ale gdym lepiej spojrział, to poznałem łatwo, iżes jest taki sobie, jakich panowie po dworach zazwyczaj trzymają, cudak szpetny, na którego uczciwemu chłopu wstrętno jest patrzeć; a no teraz, gdy przekonywam się, iż serce ludzkie masz, do uczciwych ludzi przywiązane, tedy widzę już, iżes jest człowiek uczciwy i nijakiej wstrętności do wasona nie mam!

To rzekłszy, poszedł chłop w swoją stronę, przychylnie karła żegnając; a karzeł oddalił się w swoją, wielce zdziwiony, że go nie bardzo postacią swoją zachwycił.

XIV.

Jeszcze sto dukatów.

Phil szedł do Wartburga tą samą drogą, którą tegoż dnia już przebył, wkrótce też ujrzał biednego kramarskiego osła, leżącego bez życia, po płatnięciu żołnierskim mieczem, i gestych ukłóciach ostrym nożem, i szalonym biegu skutkiem tego. Philowi żal się zrobiło zwierzęcia, ale na jego dolegliwości nie znajdując rady, poczuł sam okrutne znużenie na widok otwartéj paki z miękkimi towarami, leżącej ciągle na nieżywym stworzeniu. Phil wlaźł w nią, położył się na towarach, nakrył sztuką jakiejś ciepłej tkaniny, rozwinawszy ją, i zasnął po trudach połowy dnia i całej nocy nieprzespanej poprzedniej. Obudziły go dosyć dotkliwie razy: to kilkunastu wojaków Chrypki z kramarzem rozpaczającym na czele, znęconych sutą jego obietnicą, odnaleźli po długiem szukaniu osła z towarem i bili płazami śpiącego w pace karła.

— A to co? czego chcecie odemnie, wielmożni panowie? — krzyknął.

— Nic wcale, budzimy tylko waszę wielmożność, bo śpiąc tu zapewne odkąd osieł, wierzchowiec twój, zdechł, musiałeś się już dobrze wyspać — odpowiedzieli grzecznie.

— Lepiej go! lepiej! bicie lepiej, wielmożni panowie! — krzyczał kramarz, rozżłoszczony na karła za stratę osła. Ale żołnierzy nie obchodziły straty kramarza, znalazłszy tedy osła a raczej towar i spędziwszy z pak karła, zaczęli najspokojniej towar ten rabować. Próżno ich błagał i pomocy wzywał właściciel, przypominając, że tylko pewną część miał im dać w nagrodę za wyszukanie reszty. Urwisy, zrabowawszy wszystko, przecież aby właściciel się nie skarżył, że nie dostał, dali mu... sporą ilość szturchańców.

— Lepiej go! lepiej! bicie lepiej! wielmożni panowie! — mówił teraz karzeł z kolei, gramoląc się z tyłu na szkapę dowódcy tego oddziału.

— A tam co za lichy mię szarpie? — krzyknie oglądając się przestraszony dowódca.

— To nie lichy, to ja, karzeł, sługa i współwychowaniec landgraфа Henryka, osobisty przyjaciel jego wiernego sługi, potężnego Chrypki, czynię panu ten zaszczyt, że raczę przejechać się za pańskimi plecami i pod pańskim płaszczem z powrotem do Wartburga — odpowie z wielką dumą karzeł, tuląc się przed zimnem w odzieniu wielkiego dragala, jak mysz u stogu siana. Dowódca pomyślał, że niemądrze byłoby narażać sobie tak znakomitą osobistość, a kto wie, może nawet nagroda jaka kapnie za wyszukanie i przywiezienie ulubionego landgrafowskiego karła; pojechał więc Phil wygodnie drzemiąc do Wartburga, a raczej do Eisenach. Przybywszy, poszedł prosto do bardzo starego księdza jednego, którego znał. Zastał go na kolanach, a na stole leżało całodzienne jego pożywienie:

— Wstyd mi okrutnie — mówił ksiądz — że wczoraj, nikczemnym strachem zwyciężony, nie śmiałem tak samo jak i wszyscy otworzyć drzwi mojej izby dla żebrzącej schronienia landgrafowej turyngskiej z dziećmi. Dziś oto zebrałem dla nich moję żywność, ale nie wiem, gdzie ich szukać, ani jak to posłać, aby próżno tylko w ręce żołdactwa nie wpadło, gdy sam chorem nogami nie władam.

— Czekaj, księże — rzecze Phil, namyślając się — poslij ty Magdę, sługę swoją, po wodę do źródła naprzeciwko Go-

spody Ubogich, a już ja znajdę sposób, aby księżna Elżbieta dowiedziała się, że masz tu czém pożywić jój dzieci.

— Ale Magda, kościelna sługa, prawie tak źle chodzi jak i ja — mówił ksiądz; jednak Magdę posłał, rozumiejąc dobrze, że Phil właśnie, jeżeli życzliwym jest księżnie, to okazywać tego jawnie nie powinien, aby go Chryпка nie zamknął gdzie do ciupy. Magda poszła zrzedząc i wlaższy na kamienie u źródła spadła z wielkim krzykiem, jak tego spodziewał się Phil. Na krzyk żałosny wybiegła księżna Elżbieta z chlewka i ukłękawszy przy zranionej, zaczęła ranę jój opatrywać w obec ubogich, wybiegłych także z gospody i przyglądających się jój ze strachem i podziwem. Wśród tłumu karzeł Phil, zwyczajnie jak błazen, wyrastający wszędzie, gdzie go nie posiano, przewracał koziołki, przedrzeźniając kulawą Magdę, przyczem zbliżywszy się do księżny, zdołał jój powiedzieć pocichu:

— Idź, księżno, z dziećmi do staruszka Roberta, straż z tamtąd już odeszła, bo nie może na wszystkie strony wystarczyć.

Gdy księżna przyszła do księdza, ten już uprzedzony przez karła opowiedział jój, co przyjaciele obmyśliли dla ratowania jój dzieci i księżna, splakawszy się nad konieczném rozstaniem, wolała przecież oddać je uczciwym ludziom, niż w ręce Chryпки. Sama miała jeszcze ciągle przekonanie, że nie powinna krokiem oddalać się od miejsca, na którém pozostawił ją książę Ludwik, aby strzegła dziedzictwa Hermana II-go. Dzieci jadły tymczasem i grały się u skąpego ognia.

— Matko, żołnierze idą! — krzyknęła nagle Zosia przeżona, a za nią reszta dzieci. Żołnierze weszli i wprowadzili księżęcą rodzinę do poblizkiego pałacu, a dowódca ich oznajmił, że ponieważ Elżbieta Węgierska uparła się, aby zostać w Eisenach, zatem landgraf Henryk w łaskowości swój i na ten upór już pozwala, ale żąda, aby przyzwicie mieszkała. Karzeł Phil, widząc to z daleka i wypatrzwszy o ile mógł, gdzie ich wprowadzono, pobiegł na zamek do Chryпки, zastał go przy suto zastawionym stole, ogryzającego jednak tylko własne paznogie, i rzekł, przewróciwszy kozła na ławie, a potem łapczywie pochłaniając jedzenie:

— Otóż teraz to rozumnie zrobiłeś, zapakowawszy marnotrawnicę do ciupy, gdzie ją zamorzysz, gdy ludzie o nięj zapomną, nie patrząc na nią, a żałować nikt jój nie będzie, bo przecież mieszka w pałacu. Czemu tak od razu nie zrobiłeś?

— Bo myślałem zrobić to dalej od oczu ludzkich, tam, gdzie jechać nie chciała. Ależ ty, Szkaradna Potworo, pochłoniesz całą moję wieczerzę! — zawołał Chryпка i sam jeść zaczął, nabrawszy apetytu, patrząc na apetyt karła. Phil jadł aż się dławił, bo taki miał zwyczaj, gdy był w wielkiej złości, złościł się zaś dla tego, że uwięzienie księżnej popsuło mu wszystkie plany ułożone z Kranzami; pewien był, że teraz nieszczęśliwa rodzina zginie; a to tém więcej, że lud wystraszony, nie powstawszy na jój obronę odrazu, teraz nie mógł już powstać, gdy przywłaszczyciel miał czas się ubezpieczyć:

— Ha, gdybym choć tę małą Zosię landgrafównę mógł uratować, która mię tylko raz w życiu i to za kota Szkaradną Potworą nazwała!... — jęknął po swojemu karzeł sam do siebie.

— Co mruyczysz, Potworo? — spytał Chryпка.

— A to powiadam, że jak oni będą tak blisko, a to się przewlecze, to choćbyś ty pękl, nie upilnujesz i stara księżna

Zofia potrafi porozumieć się z marnotrawnicą, bo jój strasznie sumienie dokucza, że dawniej była dla synowej niedobrą, a tę starą musisz oszczędzać, tedy nie wiem, jak sobie poradzisz.

(d. c. n.)

PROZA I POEZYZA.

O biała moja gołąbko, rosą łzawą wykarmiona, gdzieś mi uleciała, piosnko, gdzie cię niosą lotne skrzydła?

Jam drżącą stopą w poranne lata ciebie uganiała, jak ta pszczoła, co ponad woniejącą przelata łąką.

I w śpionym potoku wód, w drżącym bladęj gwiazdki światło, wszędzie memu oku ślady twoje promieniste lśniły.

I w tój zorzy, co dzionek jasny na niebie świtu wróży, jam ciebie, piosnko, widziała, bom cię w własnej duszy czuła.

(Przerobić tę prozę na poezyą, każda zwrotka ma cztery wiersze, o jednakowej liczbie zgłosek).

Łamigłówka zgłoskowa (M. P.)

Z następujących zgłosek: czym—da—do—do—dau—er—fa—koz—kro—le—łuś—ła—mo—na—nim—ni—o—o—peć—per—pał—por—ryasz—sa—sa—schan—to—u—wa—za— ułożyć wyrazy: 1. Ptak wodny. 2. Rodzaj poematu. 3. Król perski z dynastji Sasanidów. 4. Bóstwo z mitologii słowiańskiej. 5. Imię biblijne. 6. Miejscowość w Saskiej Szwajcaryi. 7. Miasto w królestwie polskiem. 8. Opera. 9. Nazwa mitologiczna. 10. Dawna nazwa broni palnej. 11. Miasto w Hiszpanii. 12. Imię zdrobniałe. 13. Pisarz polski z XVI wieku. Początkowe litery, z góry na dół odczytane, utworzą nazwę cnoty, przeciwnęj wadzie, która utworzy się z liter końcowych, także z góry na dół odczytanych.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 40-go.

Szarady:

Kar — me — lek.

Łamigłówki w kwadraciku:

R	O	D	A	N
O	B	O	R	A
D	O	W	E	R
A	R	E	N	A
N	A	R	A	Z

SPROSTOWANIE.

N-r 42, stronica 330, przypisek u dołu na szpalcie 2-gięj zamiast: czarna głowa żubra z przetkniętą wicią, skreconą itd. powinno być:

Czarna głowa żubra w złotem polu z wicią skreconą i przetkniętą przez nozdrza.

TREŚĆ: Doświadczenie fizyczne (z drzew.) — Na mogile wiersz, p. Z. Morawską. — Prawdziwe bogactwo przez autorkę Rejinki (c. d.) — Grota Mamutowa (z drzew.) — Na co się siostry zgodziły, komedyjka p. Natalią Sokołowską. — Landgrafówna Zosia, powieść z czasów rycerskich p. M—a. (c. d.) — Łamigłówki i rozwiązania. W Dodatku: Niecierpliwy p. Jana (z drzew.) — Przestrach Janinki. — Fartuszek. — Myśląca Helcia. — Co Zys i Janusia robili w Warszawie u Babcy, przyjechawszy do nięj ze wsi na święta Bożego Narodzenia. — Łamigłówka, rozwiązanie, Skrzyńka do listów ogłoszenie i sprostowanie. Dodatek książkowy: Brat i siostra, z niemieckiego.

PRZESTRACH JANINKI.



NIECIERPLIWIY.

Siedział raz Leos z wędką nad strumykiem,
 Bo chciał złowić dużą rybę;
 Lecz że się nudził, więc rzucił kamykiem
 W przezroczystą wody szybę.
 Rybki pływały bliźniutko przynęty,
 Lecz żadna się nie złowiła,
 Ta wypłynęła, ta się skryła w męty,
 A każda ostrożną była.
 Leos siedzi chwilę, siedzi już i drugą,
 Rybki jak niema, tak niema,
 Choć siedzieć nie lubił w miejscu zbyt długo,
 Wędkę jednak ciągle trzyma.
 W końcu znudzony, tak pomyślał sobie:
 „Rybka zanadto ostrożna;
 „Siedzieć nie myślę, ale wiem, co zrobię,
 „Ze mną żartować nie można!”
 To mówiąc, wędkę uwiązał u krzaka,
 Nową przynętę sam lepi...
 Wreszcie przybiega, myśląc, że szczupaka
 Zaraz od wędki odzepi.
 A tu ni wędki, ani też zdobyczy...
 Co to jest, co się z nią stało?
 I ręce łamie, i woła, i krzyczy,
 Bo miałby zdobycz niemałą.
 Rybka, polknawszy z przynętą robaka,
 Popłynęła z nią na wodę,
 Tylko sam kijek pozostał u krzaka,
 A Leos miał z tego szkodę.
 Ryby nie złowił, wędki się pozbawił,
 Smutny powrócił do domu.
 Nic nie skorzystał, ani się zabawił,
 Lecz się nie skarżył nikomu.
 Odtąd już zawsze był Leos cierpliwy,
 Z rybką gdy wspomniał kłopoty,
 Co zaczął, skończył, był z tego szczęśliwy,
 Nigdy nie rzucił roboty.

Jan.

— Mamo! Katarzyno! Ratujcie! Tu, tu, Katarzyno, na ścianie; ach, co za straszny! —

Tak krzyczała w niebogłose mała Janinka, a gdy nadbiegła Mama, a za nią służąca Katarzyna, dziewczynka paluszkiem wskazała ścianę, po której śpiesznie długimi łapami pomykał pajak.

— Wstydz się, Janinko — mówiła Mama — jak można tak się nastraszyć pajaka. Cóż on ci złego zrobić może? Widzisz, jak ucieka; on ciebie tak samo się boi, ale niedarmo przynajmniej.

— A przecież zabiła go Katarzyna, nie będzie mnie więcęj straszyl — rzekła Janka — Mamuniu, on taki okropny, ja na niego patrzeć nie mogę.

— Moja Janko — odpowiedziała Mama — ja także pajaków nie lubię w pokoju, każę je wyrzucać i pajęczyny obmierać, ale na to trzeba być małym i nierozsądnym dzieckiem, ażeby się takiego stworzenia obawiać.

— Mamuniu, czyż ja jestem małe dziecko? — rzekła Janka, która już miała sześć lat skończonych — ale on taki straszny ten pajak, takie ma długie, obrzydliwe nogi. A żeby wlaź na rękę, Mamuniu, albo na głowę? Ach, okropność! A żeby ugryźć?

— Uspokójże się, moja Janko — mówiła Mama — w naszym kraju niema pajaków jadowitych, a te, co się czasem zakradają do mieszkań, nie mają najmniejszej ochoty gryźć ludzi, ale chwytają w swoje sieci muszki i inne drobne owady, któremi się żywią.

— A to i owszem, niech sobie zajadają muchy, komary, ja ich nie żałuję — rzekła Janinka — niecierpię wszystkich owadów, pajaków i innych, ale pajaków najbardziej.

— Złe powiedziałaś, moje dziecko, „niecierpię pajaków i innych owadów”, trzeba ci wiedzieć, że pajaki to wcale nie owady.

— Co też Mamunia mówi? A cóż one są takiego? Przecież nie ryby, nie ptaki, cóż więc, jeżeli nie owady?

— Pajaki są to pajaki i nic więcęj — rzekła Mama — owadów znacznie się różnią, chociaż na pozór rzeczywiście są do nich podobne.

— Moja Mamo, czemu one się różnią od owadów? Łażą zupełnie tak samo, takie mają łapki, jak u owadów.

— Właśnie, że nie takie — odrzekła Mama — każdy owad prawdziwy, największy i najmniejszy, tak motyl, chrabaszcz, jelonek, jak i komar, ma zawsze trzy pary łapek, a pajaki mają cztery pary.

— Ach! takie obrzydliwe te ich łapy. Cztery pary, to znaczy ośm. Ja myślałam, że one ich mają więcęj. Ale, moja Mamo, liszki to chyba także owady, bo z nich przecież motylki się wykluwają, czytałam o tém w „Wieczorach”. A liszki mają czasem z pewnością więcęj niż trzy pary łapek, na własne oczy widziałam.

— Liszki są to owady niewykształcone, nierozwinięte, dopiero motyl, żuk, mucha, gdy z liszki i z poczwarki się wydobędzie, jest już owadem zupełnie wykształconym, nie przemienia się więcęj. Otóż ja tylko o takich owadach wykształconych mówiłam, że mają zawsze po trzy pary łapek. Ale otóż masz tu zaraz i drugą ważną różnicę pomiędzy owadami i pajakami: owady odbywają przemiany, czytałaś o tém, więc wiesz, co to znaczy; pajaki przez takie przemiany nie przechodzą wcale, odrazu się pajakami rodzą.

— Już niech one sobie będą, co chcą, owady czy nie owady, zawsze ja ich bardzo nie lubię, brzydkie są, nieznośne, nie wiem doprawdy, po co Pan Bóg te pajaki stworzył, one do niczego nie są potrzebne.

— Nie mów tak, moja Janko — rzekła Mama — wszystko, co Pan Bóg stworzył, jest potrzebne, chociaż nietylko takie,

jak ty, dzieci, ale i starsi często tego zrozumieć nie mogą. Komużby to przyszło naprzykład na myśl, że te pająki, naprawdę bardzo nieładne i niemiłe, zwłaszcza w pokoju, mogą być jednak użyteczne. Ale otóż niedawno pewien człowiek uczony pilnie zaczął się przypatrywać tym stworzeniom i śledzić ich obyczaje. I cóż ty na to powiesz, przekonał się, że pająki prawdziwe usługi oddają człowiekowi; nie w pokojach, mamy więc wszelkie prawo wypędzać je z naszych mieszkań, ale w lesie, bo chronią drzewa od zniszczenia.

— A to ciekawa rzecz, jakim sposobem taki pajak, albo i dwadzieścia, i sto pajaków, może drzewa ochronić od zniszczenia? Moja Mamuńciu, jakże to one robią?

— Jest mnóstwo drobnych owadów, które strasznie drzewa psują, objadają liście, sadowią się pod korą, gryzą, niszczą, tak, że duże drzewo może uschnąć, gdy go taka chmara nieprzyjaciół obsiadzie. Ale przychodzą w pomoc drzewom pożyteczne ptaszęta, one bowiem z wielkim smakiem pożerają wszelkie szkodliwe robactwo; otóż i pająki leśne dzielnie się do tego przyczyniają, zjadają mnóstwo owadów, toczących drzewa i obgryzających liście, szczególnie zaś lubią jajka tych owadów. Gdzie tylko odkryją gniazdo, zabierają się do wy czyszczenia go z jajek, a to już rzecz prosta, że gdy zabraknie jajek, włođe się nie wyklują i szkodników coraz mniej w lesie się rozmnaża.

— No, no, to doprawdy bardzo dobrze te pająki robią, tylko niechby sobie wszystkie siedziały w lesie, a do nas tu do pokoju nie włąziły.

— Słusznie mówisz, moje dziecko, w pokoju pajak jest nie na swoim miejscu, to też widzisz, chociaż okrutną nie jestem, pozwalam jednak Katarzynie zabijać je i pajęczyny im niszczyć. Bronić się od zwierząt szkodliwych i dokuczliwych nie jest okrucieństwem, tylko bez potrzeby pastwić się nad żadnym najdrobniejszym stworzeniem nie wolno. Nie ładnie także być tak lękliwą, jak moja córeczka i bać się pajaka. Sama widzisz, że on biedak z większą daleko słusnością ciebie się obawiał, uciekał też, jak mógł najspieszniej, chociaż mu się nie udało.

— Szkoda, że Katarzyna go nie złapała żywego i nie odniosła do lasu. Niechby tam sobie był pożyteczny — rzekła Janinka — ale tu w pokoju, fe! nie mogę patrzeć na takie paskudztwo.

— No, że niepiękne są pająki, to prawda — mówiła Mama — a jednak dla ludzi, którzy zbliżka znają ich obyczaje, stworzenia te są bardzo zajmujące. Jakie to one naprzykład misterne sieci snują ze swojej pajęczyny. Najpiękniejsze, najdelikatniejsze koronki, nie mogą iść w porównanie z temi wyrobami pajaków. Niektóre gatunki urządzają sobie z pajęczyn baloniki i unoszą się na nich w powietrzu. Musiałaś widzieć nieraz w jesieni, w pogodę i ciepło, jak te niteczki latają sobie ponad płotami i krzakami. Drobnutki pajęczki uczepione są zwykle do nich, trudno ich jednak dopatrzeć. Uczeń ludzie, przyrodnicy, nigdy ze wstrętem nie patrzą na żadne stworzenie, bo w każdym podziwiają cudowny instykt, którym je Pan Bóg obdarzył, ażeby sobie radę dawało na świecie.

CZARNI LUDZIE.

p. Z. Morawską.

(Dalszy ciąg).

— Murzyni w Australii miast nie budują, bo jak mówiłam, najlepiej lubią przechodzić z miejsca na miejsce, a jak zjedzą owoce i rośliny w jednym miejscu, to znów idą w inną stronę. I zwierząt w Australii środkowej jest niewiele, a tylko ci, co żyją na brzegach morza, mają dużo zwierząt wodnych. Nie myślcie jednak, żeby w Australii mieszkali sami tylko murzyni, jest tam już teraz dużo Europejczyków. Bo widzicie, Anglii, którzy mieszkają w Europie i prowadzą wielki handel,

wysyłają okręty na rozmaite morza. Otóż raz taki okręt angielski spotkała burza i tak go daleko popchnęła, że ludzie będący na tym okręcie sami nie wiedzieli, gdzie się znajdują, myśleli już, że będą musieli zginąć, bo okręt się przedzirowił, woda coraz więcej wpływała do środka okrętu i wcale płynąć dalej nie mogli. Na szczęście z daleka zobaczyli jaką wyspę, a że już od innych żeglarzy słyszeli, że na tém morzu są rozmaite ziemie, ucieszyli się więc bardzo, że taką ziemię ujrzeli. Spuścili też łódkę z okrętu, zabrali rozmaite narzędzia, jak noże, siekiery, młotki, broń do strzelania, zapasy rozmaitego pożywienia i odzienia. Tak zaopatrzeni, dopłynęli do wyspy i tym sposobem ocalili sobie życie. Ale otóż nowa bieda! przybyli wprawdzie do ładu, wysiedli, pożywili się owocami, rozłożyli ogień, upieklili przy nim jakąś morską rybę, lecz gdy zasiedli, żeby się nią posilić, ujrzeli zdala po drugiej stronie łączki ludzi czarnych. Strach ich przejął ogromny, bo ci czarni krzyczeli okropnie, jedni uciekali, dźwigając na plecach jakieś ciężary, inni zaś, mając wielkie kije i łuki z strzałami z ości rybich, szli wprost ku siedzącym przy ogniu Europejczykom.

Żeglarze, zjadając sobie spokojnie owę pieczoną rybę, musieli porzucić smaczne pożywienie, bo obawiali się napadu tych strasznych czarnych ludzi. Chcieli nawet uciekać. Ale gdzie? z jednej strony były góry, na które nie tak łatwo się wdrapać, z drugiej strony znów las, gdzie mogli takich samych czarnych napotkać; uradzili więc, żeby się bronić. Ze zaś wzięli ze sobą broń, jeden z nich chciał spróbować, czy mu proch nie zamokł podczas podróży, wystrzelił więc w powietrze. Gdy strzał się rozległ, czarni jeszcze więcej krzyczęć zaczęli, i ze strachu wszyscy upadli na ziemię. Europejczycy ujrawszy ich leżących, podeszli ku nim; czarni zaś, widząc zbliżających się białych ludzi, czolgali się po piasku, a czasami który podniósł głowę i ręce, prosząc na miłg, żeby mu nie złęgo nie czyniono. Naturalnie biali ludzie nie tylko nie myśleli im nie złęgo robić, lecz owszem ucieszyli się, ujrawszy ich tak lękliwych i pokornych. Dalejże zaczęli wyjmować rozmaite kawałki kolorowe matery i szkieleka z kieszeni, i pokazywać je z daleka murzynom. Murzyni zaczęli zaraz skakać i śmiać się na widok tych cacek, bo im się bardzo podobały te świecidełka. Jeden z białych ludzi wyjął z za pasa siekiere i odciął nią z łatwością gałąz rosnącą blisko akacyi, wtedy wszyscy czarni przybliżyli się do niego, chcąc zobaczyć ową narzędzie, którym on tak łatwo uciął gałąz, gdy oni musieli się dobrze namęczyć, nim ją odłamali ręką. Biały zaraz podarował siekiere najbliższemu stojącemu murzynowi, a przyłożywszy rękę do piersi, pokazywał, że go bardzo kocha i chce z nim żyć w przyjaźni. Nie mógł mu tego powiedzieć wyrazami, bo czarny niczy nie rozumiał, lecz na miłg pojął odrzu, co biały chciał wypowiedzieć, bo zaczął skakać z radości i także okazywać mu swoją przyjaźń. Tymczasem każdy biały, co który mógł, wyjmował z kieszeni i rozdawał pomiędzy murzynów. Były to guziki, sprzączki, nożyki, a nawet szkła kawałki, dary bardzo skromne, murzyni nie znali ich użytku, lecz cieszyli się niemi, bo były świecące, a ludy dzikie lubią wszystko, co się świeci, lub jest bardzo jaskrawego koloru. Krzyczeli więc z radości tak, że aż się rozlegało do koła. Ci, co poprzednio uciekli, zaczęli powracać usłyszawszy te radosne okrzyki, i otóż okazało się, że to były kobiety, które z dziećmi na plecach schroniły się, żeby ustrzedz je od niebezpieczeństwa. Pomiedzy kobietami były także i dzieci starsze; jeden z białych, widząc dziewczynę przypatrującą się chciwie bogactwom, jakie otrzymali starsi, podarował jej maleńkie lusterko. Gdy dziewczyna ujrzała w owém lusterku swoje twarz czarną, krzyknęła tak przeraźliwie, jak gdyby ją kto ze skóry odzierał, a potem rzuciła lusterko. W téj chwili inne dzieci nadbiegły, a chociaż dziewczyna chciała podnieść zaraz porzucone przed chwilą lusterko, nie pozwolono jej na to. Rozpoczęła się więc bitwa, do której wmięszali się starsi, a biali przybysze musieli ich rozbrajać. Wreszcie jeden biały podarował owę pokrzywdzoną dziewczynie inne lusterko, a drugi dał jej kawałek czerwonej tasiemki. Dziewczyna tak się ucieszyła z tego podarunku, że z krzykiem i piskiem uciekła.

(d. c. n.)

CO ZYŚ I JANUSIA

robili w Warszawie u Babcy, przyjechawszy do niej ze wsi na święta Bożego Narodzenia.

Opowiedział **Michał Krzemień**.

(Dalszy ciąg).

Potem znalazły się dzieci na dużym, ślicznym placu z ogrodem ładnym na środku, z poza którego wyglądał śliczny kościół. Ciotka powiedziała, że plac nazywa się Nowe-miasto, choć wcale nowy nie jest, tylko od Starego-miasta nowszy, a ogród na środku placu nazywają ludzie z angielska *skwer*, kościółek zaś i gmach przy nim nazywa się kościołem i klasztorem pp. Sakramentek. I wstąpiła do tego kościółka na chwilę modlitwy, mówiąc, że jej to miłe sprawia wspomnienie, gdyż we święta i niedziele bywała tu zawsze za młodu, ponieważ wychowała się na pensyi u tych właśnie Sakramentek.

Dzieci, wszedłszy do kościoła, spokojnie się zachowywały, jak należy, ale Janusia z przestachem wielkim spoglądała na wielką kratę czarną, obok wielkiego ołtarza, zasłoniętą z wewnątrz, poza którą modlą się zakonnice, jak powiedziała Ciotka. Janusie ogarnął przestach, gdy pomyślała, jak tam smutno być musi poza tą czarną kratą, w głębi klasztornych grubych murów i nie pojmowała, jak tam mogą wytrzymać zakonnice i pensyonarki i jak tam mogli rodzice córeczki swoje na naukę oddawać. Wyszędłszy z kościoła, zwierzyła się dziewczynka ze swego strachu i swoich myśli Ciotce, a ta rozśmiała się i zapewniła ją, że zupełnie tak samo myślała, wchodząc po raz pierwszy w te gmachy, jako pensyonarka, ale w tydzień później już byłaby za nic w świecie nie zamieniła tej klasztornej szkoły na inną, bo zakonnice były dobre, umiały uczyć cierpliwie i w zajmujący sposób, a ogród tam jest piękny i sam porządek życia bardzo się paniąkom wszystkim podobał.

Kościół ten zbudowany był kosztem Maryi Kazimierzy, żony króla Jana III-go Sobieskiego, tego samego, który Wiedeń od Turków ocalił. Spoczywają też tam popioły kilku osób z rodziny Sobieskich. Ciotka z upodobaniem opowiedziała Janusi, jak w jej wieku będąc, co czwartek śpiewała z innymi w tym kościółku pieśni dwóch poetów dawnych polskich, Fe-lińskiego i Minasowicza, przy muzyce Kurpińskiego, muzyka polskiego. Taki tam był zwyczaj śpiewania tych pieśni.

Potem z tego placu poszły dzieci z Ciotką w bok, w wąską ulicę i znowu wyszły na plac podobny do tamtego, ale tak zatłoczony ludem, targującym, sprzedającym i kupującym, że co prędzej trzeba było uciekać z tamąd przed nallokiem i gwarem w miejscu dość ścieśnionem. Jednak dzieci już od razu poznały, że ta część miasta musi być bardzo starą, bo znowu była tu owa ciasnota starożytna taka, jak koło babci-nego domu. W istocie dowiedziały się, że ten plac nazywa się Stare-miasto, że jest istotnie wraz z okolicą najstarszą częścią Warszawy, że dawniej w tych wązkich warownych domach, poza żelaznemi drzwiami i żelaznemi okienicami, mieściły się niezmiernie bogate sklepy jubilerów, złotników, wyrobów srebrnych i wschodnich złocistych szat, sprzętów i kobierców, bogatej broni i z Gdańska sprowadzanych różnych pięknych i bogatych rzeczy... Dziś są tam sklepy także, ale z perkalikami i różnemi innymi rzeczami, które z małym wyjątkiem, wszystkie razem nie warte są jednego tamtejszego starożytnego sklepu.

Mimo tłoku, przecież zatrzymały się dzieci przed jedną kamienicą narożną, gdy im Ciotka powiedziała, że jest to najstarsza w Warszawie kamienica i wkrótce ma być zburzoną. Kamienica ta ma bramę przystrojoną w rzeźbione aniołki. Zaraz nad dolnym piętrem wyobrażony jest Św. Marek z chora-gwiąw w ręce, kłęczący u drzwi kościoła, a przed nim jest lew skrzydlaty. Potem ta kamienica o pięciu piętrach ma jeszcze u szczytu wysoko stojących Św. Marcina i Św. Jerzego, a Ciotka powiedziała, że na samym wierzchu były jeszcze inne

posągi; są też tam różne zatarte już napisy, a z innej strony jest jeszcze posąg Św. Anny i kilka figur. Podobne do tej są i inne kamienice w tamtej stronie. A pod temi kamienicami mają być podziemia takie rozległe, takie wielkie, że w nich ludzie zabłądzić mogą. Janusie strach ogarnął, gdy sobie te czarne podziemia wyobraziła, pociągnęła Ciotkę, uciekając co prędzej od owej strasznej starożytnością swoją kamienicy. Ale Zys rzekł, wruszając ramionami:

— O ty, dziecko! czyliż nie wiesz od Dziadzi, że takie podziemia znajdują się pod wszystkimi starożytnymi miastami, gdyż przez te podziemia w czasie obleżeń, gdy nieprzyjaciel miasto otoczył i jedzenia nie dopuszczał, mieszkańcy czynili wycieczki i nieraz przeszedłszy daleko, ukazywali się z tyłu nieprzyjaciela i wzięwszy go we dwa ognie z tymi, którzy w mieście zostali, często zwyciężali nieprzyjaciół mieszkańcy za pomocą takich podziemi! Ja się tam nic a nic tego nie boję!

— Aha! tak, a krzyczałeś w niebogłosey ze strachu, jak cię raz przypadkiem w naszej malutkiej piwnicy zostawił Tata! — odpowiedziała Janusia.

Ale Zygmus znów ramionami wruszył, mówiąc:

— O ty, dziecko! czyliż nie wiesz, że to było jeszcze przeszłego roku, kiedy ja sam byłem jeszcze prawie takim dzieckiem, jak ty jesteś!

A wtém, tak rozmawiając, nagle ujrzały dzieci, że przeszedłszy znów wąską ulicę, znajdowały się przed domem Babcy. Zdziwiły się i aż podskoczyły usłyszawszy, że obiad musi być gotów; zziębły też troszkę.

— Jakto, więc my obeszliliśmy w koło nieledwie całą dawną Warszawę?... Jakaż ona mała była! — zawołał Zygmus, usłyszawszy przy obiedzie, co Babcia z Ciotką o ich przechadzce mówiły.

— A nie zmęczyłeś się? — spytano; i pokazało się, że pomimo, iż ta dawna Warszawa istotnie była niezbyt rozległa, przecież dzieci zmęczyły się tak bardzo, że już nigdzie tego dnia nie poszły i wcześniej spać się pokładły.

Nazajutrz dopiero były nad Wisłą, a potem przez piękne, wielkimi kamienicami zabudowane ulice, przez plac teatralny koło ratusza i skweru, poszły dzieci do Saskiego ogrodu, który jest taki wielki, piękny i w środku miasta położony, że podobnego inne większe od Warszawy miasta nie posiadają. Zimą jednakże ogród ten cały jest śniegiem zasypany, a drzewa огоłocone z liści.

Przeszedłszy go szeroką aleją, dzieci znalazły się na wielkim placu targowym, za Żelazną-bramą zwanym, dla tego, że jest za żelazną bramą ogrodu Saskiego położony. Tu dopiero wszedłszy i spojrzawszy, dzieci po prostu przytomność z podziwu i zachwytu prawie straciły na widok, jaki się ich oczom przedstawił. Bo trzeba pamiętać, że był to tydzień przedświąteczny przed Bożem Narodzeniem, a wówczas targowisko za Żelazną-bramą istotnie dziwny przedstawia widok, gdyż patrzącemu zdaje się, jakby cały ten targ ogromny i wszystko, co się na nim znajduje, przeznaczone było jedynie na uciechę dzieci na Gwiazdkę.

(d. c. n.)

Homonymy.

Jak się rzecz taka nazywa,
Co w garnkach i szklankach bywa,
A także ją często znajdziecie
U ludzi i zwierząt na grzbiecie,
Bo ją człowiek zwierzęciu odbiera,
I sam następnie dodziera.

ROZWIĄZANIE DO N-ru -40go.

Zagadki:

Koza.

Skrzynka do listów.

Chwilę upewniamy, że nikt pisząc do naszej redakcyi *skompromitować* się nie może, bo żadnych w tej korespondencyi szczególnych formuł zachowywać nie potrzebuje, lecz pisać poprostu, jak się pisze zwykle do jakiejś kochającej i wyrozumiałej Cioci naprzykład. N-r 40-ty wysłany powtórnie, zapewne już odebrany. Niechże teraz kochana Chwila przygotowuje drugi liścik dłuższy i mniej ceremonialny.

Skrzydlaty Pegaz nadesłał wierszyk, który jednak z rozmaitych powodów nie może być drukowany. Nic na tém Pegaz nie straci, gdy mu troszeczkę lat i doświadczenia przybędzie, zanim skrzydła do lotu rozwinie. Co do łamigłówek, będą drukowane, jeśli się okażą bez omyłek, czego nie mieliśmy dotąd czasu sprawdzić. Z dawniejszych niektóre były drukowane, inne zapewne odrzucone, bo żadnej obecnie nie mogliśmy znaleźć. Z łamigłówkami niepodobna inaczej postępować, wybiera się do druku najlepsze, reszta... idzie do kosza; i Pegaz toż samo zrobiłby na miejscu redakcyi.

Strzale nie możemy mieć za złe, że nie pisywała w czasie wakacyj, spędzonych tak przyjemnie. Wszakże i nasza Skrzynka do listów w czasie wakacyj była zamknięta, więc i dobrze się stało, że liściki nie nadchodziły, bo musiałyby były długo czekać na odpowiedź. Młodszej siostrzyczki prosimy bardzo, ażeby się zebrała na odwagę i napisała osobny liścik, a przekona się, że wcale do tego odwagi nie potrzeba. Tymczasem i jój i małemu braciszkowi przesyłamy po całusku.

Iskierka kochana wielką nam sprawiła przyjemność miłym swoim liścikiem. Mielibyśmy wielką ochotę uściskać ją za to, że po tak ciężkiej chorobie, leżąc jeszcze beczynnin na fotelu, już myślała o nas i natychmiast przyszedłszy do siebie doniosła o chorobie i wyzdrowieniu. Łamigłówkę wydrukowalibyśmy chętnie, ale nazwisko, z końcowych liter złożone, za mało jest znane dzieciom polskim, a zestawienie z pierwszym nie zupełnie stosowne. Ukrainka na Mazowszu mieszka teraz na wsi i gorliwie się trudni gospodarstwem. W wolnych chwilach jednak pisuje do nas i „Wieczory” zawsze czytuje.

Ukraince na Mazowszu, Synogarliczce i Czarownicy z Łysiej góry przesyła pozdrowienie Iskierka.

Iskierka (druga, a więc prosimy, żeby dodała coś dla odróżnienia do swego pseudonymu) przesała nam powiastkę, naśladowaną z francuzkiego, którą w Dodatku zamieścimy. Nic w tém wcale niema złego, jeśli kto ma ochotę do pisania i radby swoje drobne prace widzieć wydrukowane. Tylko nie trzeba sobie wyobrażać, że po skłeceniu małej powiastki dla dzieci, jest się zaraz znakomitą autorką, nadzwyczajną jakąś osobą. Ponieważ kochana Iskierka prosi nas o rady i wskazówki, powiemy jój przedewszystkiem, że przekłady z obcych języków najmniej się przyczynić mogą do rozwinięcia zdolności pisarskiej. Jeśli się ma łatwość opowiadania, najlepiej wybierać rzeczywiste jakieś zdarzenia, przygody dzieci prawdziwe i te prostymi słowami opisywać.

Topolka z nad Kodemy bardzo słusznie powiada, że po przeczytaniu „Jedynaczki” każdemu zapewne więcej się podoba ta poświęcająca się żona, aniżeli sam Tomasz Carlyle, który jój cenić nie umiał, jak na to zasługiwała. Nieraz na nieszczęście się zdarza, iż ludzie uczeni i znakomici, zanadto zaprzątnięci żądzą sławy, w domowym życiu są samolubni i wcale nie myślą o szczęściu rodziny. Cieszymy się niezmiernie, że Topolka tak jest zadowolona ze wszystkich naszych powiastek.

Mrówce przesyłamy liścik następujący:

„Kochana Mróweczko! Bardzo mnie zasmuciła wieść o Twojem nieszczęściu. Dziękuję Ci, że nawet teraz nie zapomniałas o mnie. Od chwili, w której dowiedziałam się o Twojem sierotwie, jeszcze więcej Cię pokochałam. Szkoda, że jesteśmy tak oddalone od siebie, ale pomimo to zdaje mi się, że się dobrze znamy. Czy i nadal nie przestaniesz pisywać do redakcyi? Zasyłam Ci uściśnienie.

Twoja przyjaciółka Topolka z nad Kodemy.

Derkacz z nad Kodemy chciałby się poznać z koresponden-

tem naszym Wilczyskiem i tymczasem przesyła mu pozdrowienie, zapytując, ile Wilczysko ma lat i jak ma na imię? O sobie zaś donosi, że ma lat 8 i nazywa się Staś. O ile sobie przypominamy, Wilczysko jest znacznie starszy, zapewne jednak na tak uprzejmą odezwę młodszego kolegi nie omieszka odpowiedzieć.

Świtezianka takie dawniej częste i serdeczne liściki pisywała do redakcyi, a teraz trochę się dąsa, powiada, że jój na pytania nie odpowiedziano. Dziś już niepodobna sobie przypomnieć, jakie to były pytania i dla czego nie dano na nie odpowiedzi. Jeśli idzie o to, że nie wysłano N-ru Kroniki, to nie nasza wina, gdyż redakcyja tego Pisma nikomu N-rów okazowych nie wysyła. Możemy zresztą liścik na poczcie zaginął, może i w naszej redakcyi się zarzucił w czasie nieobecności kierowniczkii Pisma, gdy Skrzynka do listów była zamknięta. Świtezianka, która przez czas tak długi była stałą naszą korespondentką i zawsze dawniej z odpowiedzi była zadowolona, powinna być troszkę więcej wyrozumiałą i nie podejrzawać niesłusznie redakcyi, że jój listami jest znużona i nie zwraca uwagi na jój potrzeby, chociaż innym rad chętnie udziela. O, Świtezianko! czyż można być tak niesprawiedliwą? Ale my wiemy, że to był tylko dąsik chwilowy i że wkrótce otrzymamy liścik taki serdeczny, jak dawniej. N-r żądany wysłano.

Pani Chojnowskiej. Nie możemy Pani udzielić żądanej wiadomości, gdyż nikt, oprócz autorów i wydawców, nie wie, kiedy wymienione dzieła ukażą się w handlu. Dotąd nic o tém nie słycać. Co do brakujących Dodatków, zawsze upraszamy wszystkich, aby się upominali o zaginione na poczcie N-ra lub Dodatki zaraz po otrzymaniu N-ru następnego. Ponieważ Szanowna Pani odszukała większą część zatraczonych Dodatków w domu, więc i reszta prawdopodobnie zarzuciła się tym samym sposobem. Chętnie jednak odesłamy żądany arkusz, ale trzeba wskazać, nie stronicę, lecz N-ra Pisma, do którego był dołączony, gdyż Dodatki bez Pisma nie odsyłamy, a wyszukiwanie stronic nadto jest uciążliwe.

Jaskółka z nad Sekwany wielką radość sprawiła Kaziowi, pierwsza bowiem rozwinęła skrzydełka na jego wezwanie. Serdecznie dziękujemy kochanej Jaskółeczce, że nie zapomniała o nas, chociaż pewnie teraz gorliwie nad naukami pracować musi. Chmurka błękitna, której pseudonym podobał się Jaskółce, jeśli nas pamięć nie myli, nazywa się Janiuka, ma lat 10 i mieszka w Lwowie. Gdyby te szczegóły były niedokładne, zapewne je Chmurka błękitna sama sprostuje.

Jaskółkom z różnych stron świata, Stokrotce i Chmurce błękitnej przesyła pozdrowienie Jaskółka z nad Sekwany.

Muszelkę trudno byłoby nie pokochać po przeczytaniu takiego serdecznego liściku. Jest w nim wprawdzie parę drobnych omyłek, ale dziewczynka w tym wieku nie może pisać doskonale, bo czegożby się uczyła, gdyby już wszystko umiała? Ciocia ślicznie zrobiła, że nie chciała pomódz w napisaniu liściku, bo nie byłby dla nas tak miły, żeby go była kochana Muszelka sama z własnej główki nie ułożyła. Jeżeli Pawie piórko umie już stawiać literki, to prosimy bardzo, żeby nie odkładał pisania na później, a teraz i jego i Muszelkę ściskamy serdecznie.

OGŁOSZENIE.

Pod tymże samym adresem i po tejże cenie co **Wieczory** prenumerować można **KRONIKĘ RODZINNĄ** pismo dla rodzin, poświęcone literaturze, naukom i sprawom społecznym, które oprócz odpowiednich do tego założenia artykułów, zamieszcza niewydane dotąd pamiętniki i korespondencje znakomitych ludzi, oryginalne podróże, powieści, komedye do przedstawienia w teatrach amatorskich, wiadomości polityczne i sprawy bieżące. Prenumeratory Kroniki otrzymać mogą po cenie niższej różne wartościowe dzieła i oleodruki wykonane starannie w zakładach zagranicznych i krajowych, od roku zaś przyszedłego 1886 otrzymają w dodatku bezpłatnym wydane nakładem redakcyi ciekawe **PAMIĘTNIKI MARYI WESSLÓWNY KRÓLEWICZOWEJ KONSTANTOWEJ SOBIESKIEJ**, spisane ze wspomnień i archiwów jój rodziny.